

Numer

10

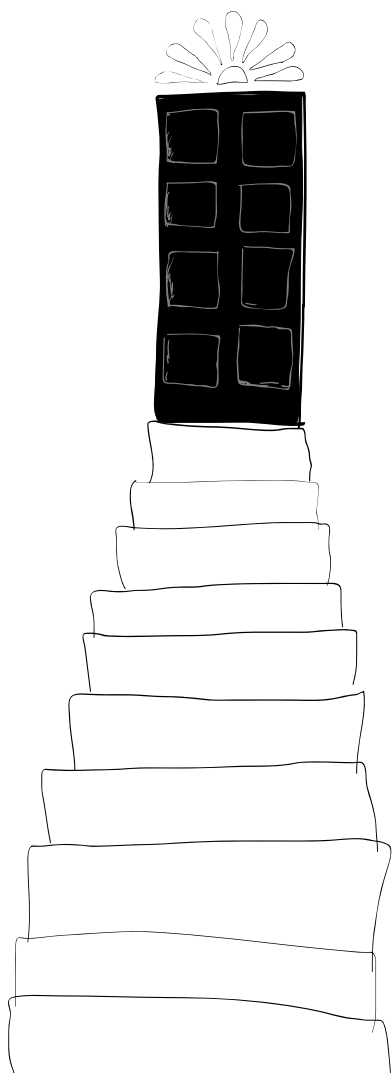
S u e T o w n s e n d



Zdjęcie autorki: ©Niall McBerria

Sue Townsend

urodziła się w 1946 roku w Glenn Hills, w Leicester. W wieku piętnastu lat rzuciła szkołę; trzy lata później wyszła za mąż i urodziła pierwsze z czworga dzieci. Zanim dwadzieścia lat później wygrała konkurs na sztukę telewizyjną, pracowała w wielu niskopłatnych zawodach, starając się utrzymać rodzinę. W pierwszej połowie lat osiemdziesiątych książką *Adrian Mole, lat 13 i 3/4. Sekretny dziennik* rozpoczęła zawrotną karierę pisarską. Obecnie łączny nakład kolejnych części dziennika sięga dziesięciu milionów egzemplarzy, a książki Townsend ukazują się w tłumaczeniach na trzydzieści cztery języki. Poza serią o Adrianie Mole'u autorka opublikowała dotąd cztery powieści, w tym *The Queen and I* (1991) oraz *Numer 10* (2002).



S u e T o w n s e n d

Numer

10

przełożyła
Dorota Dziewońska

Tytuł oryginału: *Number Ten*
Copyright © 2002 by Sue Townsend
Copyright © for the Polish edition
by Wydawnictwo W.A.B., 2005
Copyright © for the Polish translation
by Wydawnictwo W.A.B., 2005

Wydanie I
Warszawa 2005

Colinowi, w dowód miłości i wdzięczności

Jack Sprat chudo jadł
Jego żona wygłodzona
Siedli do stołu
I wnet pospołu
Wylizali gar do cna¹

John Clarke, *Paremiologia angielsko-łacińska*
z 1639 roku

Prolog

Edward Clare czyścił zęby w ogromnej łazience przy Ann Street 5 w Edynburgu. Odliczał w myślach ruchy szczoteczki, tak jak uczyła go mama - nie mogło ich być mniej niż dwieście. Już prawie skończył, kiedy przypomniało mu się, że wieczorem doszedł tylko do stu pięćdziesięciu, bo tak mu się spieszyło do książki (autorstwa Blyton, tej o Wielkiej Piątce i złym latarniku), przerwanej w najciekawszym momencie.

Kiedy wreszcie odliczył tyle machnięć, ile trzeba, odszedł od umywalki i rozłożonej pod nią miękkiej maty i zaczął dreptać boso po zimnej wykładzinie, nie przerywając szczotkowania, tak by wykonać jeszcze pięćdziesiąt ruchów. Wiedział, że Pan Bóg spogląda na niego z góry i będzie zadowolony, widząc, jak Edward Clare nadrabia zaległości.

Wyplukał usta z pasty i przetaił umywalkę szmatką, którą mama zawsze wieszała obok. Podeszedł do sedesu i ostrożnie podniósł mahoniową deskę. Opuścił spodnie od pizamy, oderwał kawałek papieru toaletowego z dozownika na ścianie i starannie owinął nim swojego małego różowego siusiaka.

Sikał jeszcze, kiedy na dole zadzwonił telefon. Dzwonił i dzwonił. Mama nie mogła odebrać, bo była w szpitalu, ale gdzie tata?

Wreszcie usłyszał trzaśnięcie drzwiami, a potem kroki ojca w holu, i dzwonek umilkł. Słyszał, jak ojciec huczy do słuchawki:

- Percy Clare. Słucham!

Edward strząsnął ostatnie krople moczu do muszli klozetowej, odwinął członek z papieru i podciągnął spodnie. Dwa razy energicznie szarpnął za łańcuch spłuczki i jeszcze chwilę przyglądał się, jak papier wiruje w muszli i znika w jej czeluściach. Kiedy woda w sedesie już się uspokoiła, opuścił deskę. Wtedy usłyszał trzask drzwi do ogrodu. Szybko umył ręce i podszedł do okna w swoim pokoju, żeby wyrzucić. Zobaczył odwróconego tyłem ojca, idącego kamienną ścieżką. Widział jego ramiona podrygujące tak, jak zwykle podczas śmiechu. Chłopiec uśmiechnął się, próbując przewidzieć kawał czy zabawną anegdotę, którą tata opowie mu przy śniadaniu.

Już siedem tygodni i trzy dni - od urodzenia Pamelii, siostry Edwarda - mama była w szpitalu. Cały ten czas codziennie rano tata przy śniadaniu nie zajmował się, jak dawniej, czytaniem „Morning Star” czy jakichś listów, ale rozmawiał z Edwardem.

Na przykład wczoraj zapytał, czy Edward „chciałby uczyć się na czymś grać”. Chłopiec był tak pochłonięty myślą o tym, żeby zdążyć zjeść płatki, zanim nasiąkną mlekiem i staną się ohydne, że odpowiedział bez zastanowienia:

- Aha - i wymienił pierwszy instrument, jaki mu przyszedł do głowy: - Na gitarze.

Ojciec roześmiał się.

- Na gitarze! Zdaje się, że mamie chodziło o coś bardziej... chyba myślała, że przyłączysz się do tej jej grupy, no wiesz, do kwartetu smyczkowego.

Edwardowi od razu przypomnieli się ci wszyscy panowie i panie, z którymi mama spotyka się w czwartki. Ależ są nieciekawi! Zdejmują w przedpokoju płaszcze i kapełuszki i zostają w grubych ubraniach i ciężkich butach. Mają dobrotliwe, pospolite twarze. Wyglądają na takich szczęśliwych, kiedy grają na swoich instrumentach.

Edward przyglądał się ojcu, który usiadł na oślizgłej, omszałej ławce w ogrodzie. Od dawna nikt tam nie siadał. Z początku chłopiec myślał, że tata wciąż się śmieje, bo widać było jego wykrzywione w dziwnym grymasie usta. Edward uśmiechnął się na ten widok. Ostatnio, odkąd mama poszła do szpitala, tatuś był ciągle przygnębiony. Może ten telefon przed chwilą był od lekarki z czarnymi wąsami i uszminkowanymi na czerwono ustami. Może mama wraca do domu.

Edward poczuł ulgę, że jego modlitwy zostały wysłuchane. Spojrzał na wiszący nad łóżkiem obrazek Pana Jezusa w jaskrawych kolorach. Pod lewą pachą Jezus trzyma baranka, a w prawej ręce ściska kij pasterski. Wokół jego bosych stóp stoi potulnie stado owiec. Tata Edwarda czasami stroił sobie żarty:

- Eddy, ten twój Jezus wygląda jak Erol Flynn w damskim przebraniu.

Ale mamie obrazek na pewno się podobał, bo co tydzień czyściła szybkę do połysku różowym windowlene.

Edward spróbował otworzyć okno. W końcu z trudem udało mu się podnieść ramę na tyle, żeby móc wysunąć głowę. Poczul stęchły zapach jesiennego powietrza i nagle usłyszał tak straszliwy jęk dobiegający z ust ojca, że aż go ścisnęło w dołku ze strachu. Tata zawodził jak te kobiety z obcych krajów, pokazywane w wiadomościach.

Wsunął głowę z powrotem do sypialni i przykucnął pod oknem, tuląc się plecami do ściany. Może tata go nie widział. Ręka jakoś sama powędrowała do spodni od piżamy i chwyciła za mały członek. Mama surowo zabraniała mu dotykać się w tych okolicach, ale on już wiedział, że od tej chwili mama o niczym się nie dowie.

Tego dnia nie poszedł do szkoły. Siedział cicho w swoim pokoju i przeczytał dwa rozdziały książki.

Do domu zaczęli się schodzić różni ludzie. Muzycy, przyjaciele taty, komuniści, sąsiedzi, członkowie zgroma-

dzenia kościoła anglikańskiego, w którym Heather grywała na organach na ślubach, chrztach i pogrzebach.

Nikt nie powiedział Edwardowi wprost, że mama nie żyje. Zapłakani krewni przytulali go i szlochali mu nad głową.

Ulubiona ciocia, Jean, westchnęła:

- Oj, Eddy, co my bez niej zrobimy!

Każdy myślał, że ktoś inny już go poinformował, i w rezultacie nikt nigdy tego nie zrobił. W ciągu kilku dni poprzedzających pogrzeb Edward zachowywał się jak wytrawny szpieg. Podśluchiwał pod drzwiami, czytał każdy skrawek papieru.

Dokładnie w chwili, kiedy ogień obracał w proch ciało jego matki, on był zajęty odłupywaniem skamieniałości od skały w Bamburgh, gdzie był na szkolnej wycieczce. Dorośli uznali, że obecność na pogrzebie byłaby zbyt ciężkim przeżyciem dla tak małego chłopca. Słyszał, jak ciocia Jean mówiła do ojca:

- Percy, on nie może iść. Wiesz, jak mocno był związany z matką. To było wręcz nienaturalne.

Z tej samej rozmowy wywnioskował, że Pamela - jego siostra, której jeszcze nie widział - ma zostać zabrana do kraju o nazwie Anglia i mieszkać tam z ciocią Jean i wujkiem Ernestem.

Dokładnie o godzinie 11:00 w dniu 1 października 1959 roku Edward Clare przestał obłupywać skalną ścianę i wyjął z kieszeni kartkę z napisem: „Nabożeństwo żałobne Heather Mary Clare”.

Wyobraził sobie mamę w trumnie. Co ma na sobie? Czy ktoś ją uczesał? Czy naprawdę nie żyje? A co, jeśli lekarka z czerwoną szminką i czarnymi węsami się pomyliła i mama nie umarła, tylko śpi? Czy tata nie mówił kiedyś jednemu ze swoich przyjaciół-komunistów, że ta lekarka przynosi wstyd całej pieprzonej służbie zdrowia?

Ściskając kurczowo kartkę z modlitwą żalobną, Edward ukląkł na piasku. Skalne odłamki wżerały mu się w gołe kolana, lecz nie zważał na ból. Próbował modlić się do Pana Jezusa, ale nie mógł od siebie odegnąć wizji mamy budzącej się w trumnie i krzyczącej do niego, żeby ją uwolnił. A co on mógł zrobić? Był ponad sto mil od niej. Gdyby nawet w tej chwili złapał pociąg pospieszny, i tak by się spóźnił.

Pan Little, nauczyciel przyrody, krzyknął:

- Clare, pospiesz się. Mamy tylko pół godziny do przybywu.

Inni chłopcy podnieśli głowy, zadowoleni, że surowy pan Little upomniał nie ich, ale Edwarda Clare'a, tego dziwnego chłopca, który czasami płacze w szkole bez powodu.

Po raz pierwszy Jack Sprat zdał sobie sprawę, że jest biedny, brudny, obdarty i z gorszej rodziny, kiedy matka wysłała go do sąsiadów, żeby pożyczył rondel. Miał wtedy sześć lat i na śnieg włożył tenisówki. Na ciepłe buty właśnie przyszła kolej Stuarta, jego brata. Stuart został posłany do sklepu z zapisaną na kartce prośbą o kredyt, biały chleb krojony, dwie puszki fasoli i dziesięć papierosów Woodbine.

Jack spoglądał na czerwony dywan i czuł ciepło kaloryfera umocowanego na ścianie blisko drzwi. Widział kuchnię na końcu korytarza. Na kuchence stały cztery rondle. Spod pokrywek wydobywała się para, a od zapachu potraw chłopcu aż ślina napłynęła do ust.

Wtedy pojawiła się mama Grahama i powiedziała:

- Jack, a gdzie masz kurtkę?!

- Nie wiem - odparł.

- Przecież nie możesz chodzić w krótkich rękawkach w taką pogodę! Mama wie, że wyszedłeś?

Powiedział, że mama przysłała go z prośbą, czy pani może nam pożyczyć rondel, bo nasz się spalił, „jak mama zasnęła i przypaliła ziemniaki”.

Pani Worth najpierw chwilę wpatrywała się w niego z niedowierzaniem, a potem zapytała:

- To macie tylko jeden garnek?

- Tak - odpowiedział Jack.

Graham Worth spojrzał na matkę i zachichotał. Ten cudowny zapach dochodzący z kuchni niczym jakaś fatamorgana migotał brązowawo w powietrzu między nimi.

- Zamknij drzwi i chodź - powiedziała ponagłając pani Worth.

Jack zamknął drzwi i ruszył za nią w głąb korytarza. Graham Worth wszedł do swojego pokoju, położył się na brzuchu na niebieskim puchatym dywanie przed gazowym kominkiem i wrócił do oglądania programu *Blue Peter*². Obok kominka stał kosz na śmieci, z którego zwisała skórka pomarańczy. Jack widział przez otwarte drzwi, jak Graham wyciąga rękę i jak po chwili trzyma w niej pomarańczę, której obieranie widocznie przerwał mu dzwonek do drzwi.

Matka Grahama, pochylona, grzebała z hałasem w kredensie pełnym metalowych rzeczy. W końcu się wyprostowała i chłopiec ujrzał w jej rękach rondel i pokrywkę. Przetarła środek rondla szmatką w biało-czerwoną kratkę, nałożyła przykrywkę i całość wręczyła Jackowi.

- Powinieneś nosić kurtkę - powiedziała surowo.

- Stuart ją ma - odpowiedział chłopiec charakterystycznym niskim głosem.

Kobieta spoglądała za Jackiem, który szedł jej zadbaną ścieżką, zamiecioną ze śniegu, potem w poprzek zamarniętych śladów opon na jezdni i dalej w kierunku własnego domu pod numerem 10. Stare zabawki, śmieci i zużyte opony, które zwykle zagraczały ogródek przed

domem Spratów, teraz litościwie przykrywał biały puch.
Chociaż raz ich dom wyglądał na równie porządny i godny
szacunku, jak inne na ulicy.

1

Był trzydziesty marca. Posterunkowy Jack Sprat stał przed drzwiami domu przy Downing Street 10 i rozmawiał z premierem, czując pod kamizelką kuloodporną spływające po plecach strużki potu. Między rzadkimi włosami premiera przebłyskiwały promienie słońca. Szef rządu właśnie wrócił z ambasady Angoli.

- Co u matki, Jack?

- Dziękuję, powoli dochodzi do siebie. Jadę dzisiaj do niej do Leicester.

- No tak, napady uliczne to poważny problem - powiedział premier.

Jack skinął potakująco i od razu przypomniała mu się pokryta siniakami twarz matki. Jej sińce wyglądały jak groźne burzowe chmury.

Premier ścisnął Jacka za ramię i wyszeptał:

- Powiedz jej, że będę się za nią modlił. Bóg słucha naszych modlitw.

Jacka to wcale nie pocieszyło. Patrzył, jak premier uśmiecha się nieśmiało do kamer, a potem rozpina marynarkę granatowego garnituru i macha w stronę fotografów. Wreszcie niewidoczna dłoń otworzyła drzwi i szef rządu zniknął we wnętrzu domu.

Wtedy Jack odezwał się do małego mikrofonu w kłapie - potwierdził, że mieszkaniec Downing Street 10 bezpiecznie dotarł na miejsce. Jack wątpił, by modlitwy premiera miały dla matki jakiegokolwiek znaczenie. Była

zagorzałą ateistką. Przestała wierzyć w Boga, kiedy brat Jacka, Stuart, zmarł w obskurnym pokoju w Bristolu, po wstrzyknięciu sobie zanieczyszczonej heroiny.

Głos w słuchawce poinformował go, że do numeru 10 zbliża się Amelia Badstock z grupą nastolatków, którzy chcą złożyć petycję w sprawie sprzętu sportowego dla młodzieży z Newtown Linford.

Mruknął tylko: „Dobra”, i przygotował się na przyjęcie pierwszej z pięciu planowanych na ten dzień petycji.

To był zwyczajny dzień na Downing Street. Lśniące czarne drzwi otwierały się i zamykały setki razy, wpuszczając ludzi biznesu, kwaciarzy, dyktatorów, szejka, grupę emerytów, urzędników, manikiurzystkę, speców od propagandy, nianię Poppy – Su Lo – ministrów, sekretarzy i agentów ochrony z MI5, udających monterów telefonicznych.

Turyści byli tak przyzwyczajeni do widoku policjanta przed drzwiami, że chyba zapominali, iż pod mundurem i hełmem kryje się żywa istota, która słyszy i myśli. Jack mimowolnie wylapywał urywki rozmów i skrzętnie magazynował je w zakamarkach pamięci.

Wewnątrz szef rządu rozmawiał o pomocy dla Afryki ze swoim najbliższym współpracownikiem i zarazem przyjacielem – rzecznikiem prasowym rządu, Alexandrem McPhersonem.

McPherson bardzo wczesnie zyskał złą sławę. Był najmłodszy z sześciorga dzieci, z których wszystkie pozostałe były dziewczętami. W dzieciństwie starsze siostry tak go hołubiły i rozpieszczały, że gdy tylko coś nie układało się po jego myśli, wpadał w szał i odstawiał sceny złości na głównej ulicy przedmieścia, na którym mieszkali.

Pierwszą rzeczą, jaką zapamiętał z dzieciństwa, była zabawa na podwórku, kiedy siostry woziły go w wózku dla lalek, kłócąc się przy tym, czyja teraz kolej. Skupianie na sobie kobiecej uwagi uważał za jak najbardziej natu-

ralne, i w wieku trzynastu lat przestał być prawiczkciem. Jego siostry gustowały w powieściach z silnymi bohaterkami - *Wichrowe wzgórze*, *Po prostu Katy*, *Lolita* - i takie czytywały mu na dobranoc.

Po skończeniu Balliol College w Oxfordzie zaczął pracować dla pisma erotycznego „Fetish” jako redaktor kolumny z listami od czytelników. Z Kraft-Ebingiem³ pod ręką pisał prostackie odpowiedzi na najczęściej smutne, a niekiedy pyszałkowane listy.

Swego czasu krążyła nawet złośliwa plotka, że McPherson i Edward Clare poznali się za pośrednictwem właśnie takiego listu, ale naprawdę spotkali się po raz pierwszy w Cambridge, kiedy McPherson zabrał kilka swoich dziewczyn na koncert amatorskiej grupy rockowej Vile Insinuations. Przyszły premier, z włosami do ramion, grał na gitarze basowej. McPherson wyszedł jednak zniesmaczony, ciągnąc za sobą swoje panny, kiedy Clare zapowiedział kolejny numer słowami: „Mam nadzieję, że ten kawałek się wam spodoba. Nazywa się *Taniec wokół Krzyża* i powstał z inspiracji Wszechmocnego”.

Ich ścieżki skrzyżowały się ponownie na przyjęciu w Izbie Gmin - zostali na nie zaproszeni wydawcy, po których spodziewano się finansowego wsparcia Partii Pracy. McPherson wysupłał pięćdziesiąt funtów i powiedział Edwardowi Clare'owi, wówczas jeszcze w opozycji, co trzeba zrobić, żeby laburzyści wygrali wybory.

- Musisz wszystko sprowadzać do średniej, robić uniki, uchylać się, dostosowywać do wszystkich i jednocześnie podobać się kobietom, a jeżeli nie pokażą cię w prasie, jak kopniakami katrupisz psa albo robisz coś w tym stylu, będziesz się miło uśmiechał i nie zapominał o dobrych manierach, a do tego zrobisz ze mnie rzecznika prasowego, wygraną masz w kieszeni.

Teraz obaj znajdowali się w prywatnym salonie domu nr 10. Na ławie leżał gimnazjalny podręcznik geografii.

- Możemy uratować Afrykę, Alex – głos premiera drżał z podniecenia.

Alexander uniósł swoją zwalistą postać z podłokietnika kanapy, na którym wcześniej przysiadł, i zaczął się snuć po pokoju.

- Afrykę? Oczywiście żartujesz?

Nie było to pytanie retoryczne. Afryka w oczach Alexandra to miejsce w ogóle nie dla białych, a choć „pomocy” Afryce uważał za oznakę poważnego zaburzenia umysłowego. Nikt i nic nie może uratować Afryki poza samymi Afrykańczykami.

- Powiem ci coś, Ed. To chyba niezbyt dobry pomysł, żeby teraz rozmawiać o Afryce, skoro jeszcze nie udało się nam sprawić, żeby nasze pociągi jeździły punktualnie.

Edward jednak był na to przygotowany.

- Afryka to ciemna plama na sumieniu świata. Ktoś musi wskazać ludziom drogę z ciemności upadających gospodarów do poczucia odpowiedzialności społecznej.

Alex odrzekł niecierpliwie:

- Ed, najpierw musimy załatwić sprawę polowań na lisy. Potem będziemy mogli się wpięprzać w sprawy Afryki.

Edward powiedział cicho:

- Uważaj trochę na słowa. Adele jest w pokoju obok. Karmi Poppy.

Alex odparł:

- Przepraszam, jeśli to zabrzmiało źle, ale czy to nie Adele napisała książkę pt. *Dupki w historii?*

Edward przez moment mimowolnie się uśmiechnął, po czym powiedział:

- To była poważna praca naukowa. Nawet Henry Kissinger powiedział mi, że trzyma ją na szafce przy łóżku.

Adele krzyknęła z sąsiedniego pokoju:

- I była na szczycie listy bestsellerów „New York Times’a” przez dwanaście tygodni!

- No dobra - skwitował Alexander - ustalmy kilka rzeczy, Ed. Ten tydzień mamy przechlapany. Sześć raportów, wzrost przestępczości, do tego według Rowntree Trust w każdej chwili pięć na dziesięć osób jest pod wpływem gorzały albo narkotyków. Aha, i pracownicy kostnic będą strajkować w poniedziałek, jeśli nie przyzna się im dziesięcioprocentowej podwyżki i trzydziestopięciogodzinnego tygodnia pracy.

- W Afryce co dziesięć sekund umiera małe dziecko na jakąś chorobę przenoszoną przez wodę - nie dawał za wygraną Edward.

- No dobra. Już mi serce krwawi, ale jak się nie dogadamy z tymi z kostnic, będziemy mieli niezły pasztet z truposzami, a zbliżają się upały, przynajmniej według prognoz w telewizji. Czy w związku z tym uda mi się zwrócić twoją uwagę na *nasz*, nie mniej czarny kontynent?

W pokoju rozniósł się silny zapach Eau Sauvage i zebrani zauważyli, że wszedł David Samuelson. Wyjątkowo ciężką miał rano rękę w kontakcie z rozpylaczem butelczki, a zabrakło mu czasu, żeby zmienić koszulę i marynarkę, które zdążyły już porządnie przesiąknąć tym zapachem.

Samuelson był w środowisku laburzystów ważną figurą. Jego dziad, Hector Samuelson, zorganizował pierwszą Wystawę Domu Idealnego w Earl's Court, która pobiła wszelkie rekordy popularności - liczba zwiedzających wynosiła średnio trzysta tysięcy dziennie.

Wystawa ta, z rewolucyjnymi żelazkami na parę, nieprzywierającymi patelniami i meblami w kosmicznym stylu, rozbudziła w Brytyjczykach chęć nabywania dóbr konsumpcyjnych, i tym samym zapoczątkowała boom produkcyjny.

Wnuk Hectora Samuelsona, David, został opisany przez swojego rówieśnika z Oxfordu jako „szatańsko bystry”, a inny mu współczesny, któremu David winien

był sporą sumkę, nie przebijając w słowach, nazwał go po prostu „szatanem”.

Powszechnie znane były jego homoseksualizm i szczególna słabość do portugalskich kelnerów. Aby mieć wielu z nich w pobliżu, Samuelson zamieszkał w dużym, zdobionym sztukaterią domu w Landbroke Grove. Prasa pokazywała go czasami w towarzystwie któregoś z zaprzyjaźnionych kelnerów, ale jak długo można w ten sposób podsycać zainteresowanie opinii publicznej? – w końcu wszyscy przystojni portugalscy młodziani w kelnerskich strojach wyglądają prawie tak samo.

Główną przywarą Samuelsona było umiłowanie pieniędzy i luksusu. Kiedy dorastał, często odwiedzał kopalnie i fabryki w regionach uprzemysłowionych na północy, które jego ojciec i dziadek reprezentowali w Parlamencie z ramienia Partii Pracy. Już jako mały chłopiec nie znoślił wszystkiego, co kojarzyło się ze stylem życia robotników, jak też robotniczych oddechów i ciasnych pomieszczeń. Ciasno było nawet w ich miskach, do których tak upychali jedzenie, że aż przelewało się przez brzegi.

W liceum interesował się historią i wykazywał się dojrzałą, współczującą postawą, zgodną z ideologią brytyjskich laburzystów. Bywało, że wzruszał się do łez, czytając archiwalne opisy zabiedzonych, głodnych dzieci pracujących w fabryce – jak po pracy zasypiały w drodze, wędrując boso do swoich ciasnych nor.

O wiele bardziej wolał klasę robotniczą z czytane niż z prawdziwego życia, która wywoływała w nim taką odrazę, że aż się wzdragał, słysząc na ulicy podniesione twarde głosy robotników. Nie nienawidził ich jako całej grupy – niektórzy nawet przychodzili na jego imprezy – ale marzył o czasach, kiedy w każdym kredensie będzie tarka do sera Parmeggiano.

Samuelson powiedział z typowym dla siebie patosem w głosie:

- Eddy, *muszę* z tobą porozmawiać.

- Ale właśnie mamy naradę - zaproponował Alexander.

Edward spojrzął na Davida, a ten powiedział:

- Chyba powinniście tego posłuchać. To naprawdę ważne. Przejrzałem wyniki badań prowadzonych w grupach dyskusyjnych. Nie spałem całą noc, ale nie o to chodzi - wtrącił tonem męczennika - czas całkowicie zmienić wizerunek partii, i to raz a dobrze, poczynając od nazwy. Przeprowadziłem mały sondaż i myślę, że to jest odpowiedni moment.

Edward i Alexander siedzieli bez ruchu całe dwie minuty i nie przerywali, kiedy David kreślił przed nimi swoje plany.

- Wyrzucamy z nazwy słowo „Labour”. „Labour”, czyli praca, trud, wysiłek, ma same negatywne skojarzenia - z potem, ciężką pracą, związkami zawodowymi oraz z długim, bolesnym porodem. No, sami pomyślcie: obecnie większość z nas przy pracy nie roni ani kropli potu, a nawet najbardziej oddane matki zamawiają sobie cesarkę, na przykład Adele.

- Jeśli wyrzucimy „Labour” z nazwy „New Labour”, zostanie nam tylko „New”. Przykro mi, ale taka nazwa jakoś nie rozpała we mnie namiętności - sucho stwierdził Alexander.

Edward zapytał:

- David, masz jakieś propozycje?

David przejechał dłonią po włosach, zgarniając je z czoła długimi bladymi palcami.

- Nie, na razie tylko przedstawiłem problem. Chciałem twój przyzwolenia, zanim zajmę się rozwiązaniem.

- Proponuję zostawić „New” - powiedział Edward.

- Jak możemy zostawić „New”? „New” było nowe w 1997. Teraz jest już stare jak diabli - zaprotestował Alexander.

- No to zabierz się do szukania rozwiązania, David. Inaczej zostaniemy z niczym. Dosłownie - Edward opuścił wzrok na raport służb bezpieczeństwa w sprawie posła Boba Marshalla Andrewsa, będącego honorowym członkiem palestry. Raport leżał na biurku i czekał na podpis. Edward jednak nic nie widział. Jego partia nie ma nazwy! Miał wrażenie, że i on powoli przestaje istnieć. Przeprosił zebranych i wszedł do swojej prywatnej łazienki. Zamknął za sobą drzwi, usiadł na brzegu wanny i urwał dwa płatki papieru toaletowego Bronco z rolki, którą trzymał w szafce pod umywalką. Z wprawą owinał papier wokół swojego penisa. Chwilę siedział nieruchomo, po czym spuścił papier w toalecie, umył ręce i uśmiechnął się do wypukłego lustra, które porządnie powiększało mu twarz i upewniało go, że wciąż istnieje.

Wrócił do salonu, gdzie Alex i David omawiali właśnie ustawę o polowaniach na lisy. David rozważał możliwość zastosowania hologramów przedstawiających lisy. Byłyby one wysyłane z satelitów kosmicznych do wszystkich hrabstw Wielkiej Brytanii, w których odbywają się polowania. Alexander mówił:

- Jak dla mnie, mogą ukrzyżować te futrzane rudzielce. Mam po dziurki w nosie całej tej pieprzonej sprawy.

Kiedy został sam, Edward usiadł przy biurku i podpisał dokument zezwalający służbom bezpieczeństwa na założenie podsłuchu w domu, samochodzie i gabinecie posła Boba Marshalla Andrewsa.

Weszła Adele.

- Ed, zostań na chwilę i bądź miły dla tej dziennikarki. Uśmiechnij się do niej i pogłaszcz mnie przy niej po głowie. Nazywa się Suzanne Nicholson, jest z redakcji „Joy”. To nowe pismo i będę tam na okładce.

Nos Adele był przeogromny. Jej ojciec, Guy Floret, kiedy zobaczył ją zaraz po urodzeniu, zauważył:

- *Mon dieu, ma pauvre enfant. Elle est Pinocchio.*

Edward przytulił się do jej pachnących mlekiem piersi i powiedział chrapliwym głosem:

- Powinnaś być na rozkładówce, kochanie.

- Jest taki słodki - westchnęła Suzanne Nicholson po tym, jak premier ucałował żonę, pogładził ją po włosach i opuścił pokój, zamykając za sobą drzwi bardzo dyskretnie, niemal przepraszająco.

Adele podkurczyła długie, szczupłe nogi pod siebie i napiła się herbaty rumiankowej.

- Owszem, słodki, ale nie *cukierkowy*.

Suzanne pomyślała o własnym mężu, który wyszedł o siódmej, trzasnąwszy drzwiami, a wcześniej wrzasnął w stronę sypialni: „Cholerna głupia dziwka!”

Był zły, bo przyznała mu się, że zostawiła jego trzy szyte na miarę garnitury w jednej z trzystu piętnastu pralni w centrum Londynu. Numerek zniknął w tajemniczy sposób z każdej z jej wielu torebek, nie było go w żadnej kieszeni żadnego ubrania ani w samochodzie, ani w żadnej szufladzie czy szafce w domu i w pracy.

Po tygodniu uników zalała się łzami i wyznała mu tę straszliwą prawdę. Obwiniła o wszystko stres związany z przygotowaniami do wywiadu z Adele Floret-Clare.

- To najinteligentniejsza kobieta świata - jęczała. - O co mam ją zapytać? Pożre mnie żywcem!

Suzanne patrzyła, jak Adele podnosi słuchawkę telefonu i mówi, przeciągając samogłoski:

- Wendy, kochana, poproszę o jeszcze trochę tej *pysznej* herbaty.

Suzanne szybko zanotowała: „Gigantyczny nos. Nieskazitelną cerą, profesjonalny makijaż, zęby świeżo bielone, buty od Prady (sprawdzić cenę w sklepie na Bond Street). Plebejski akcent bardziej zauważalny w rozmowie przez telefon”.

Adele posyłała do telefonu krótkie dźwięki wyrażające współczucie dla najwyraźniej zmartwionej Wendy.

Wreszcie spojrzała na zegarek, powiedziała do Suzanne: „Momencik” i zdecydowanym tonem przemówiła do słuchawki:

- Amputacja to jedyne rozsądne rozwiązanie - chciała odłożyć słuchawkę, ale Wendy najwyraźniej próbowała jeszcze podtrzymać rozmowę. - Nie teraz, Wendy, jestem zajęta.

Odłożyła słuchawkę i uśmiechnęła się do Suzanne.

- Nie wiem, dzwoni człowiek po herbatę, a tu wpada w cudzą psychodramę. Biedna Wendy, nasza gospodyni. Jej syn Barry, między nami mówiąc, niezły chuligan, zmiażdżył sobie nogę w wypadku na motorze. Teraz noga się nie goi, on się obija w szpitalnym łóżku na bardzo drogich antybiotykach... Ale to oczywiście nie do publikacji...

Suzanne przybrała poważny wyraz twarzy.

- Oczywiście. Ma pani prawo autoryzacji.

- Nie powinnam pani mówić o biednej Wendy, ale nie potrafię nie przejmować się sprawami personelu, ich kłopotami. Przepraszam, spróbuję nie myśleć teraz o Wendy i Barrym. Proszę, pani kolej.

Suzanne zerknęła na swoją listę pytań.

- Dobrze. A więc, jak to jest zostać nazwaną przez magazyn „People” najinteligentniejszą kobietą świata?

Adele roześmiała się.

- Ależ to nie było „świata” - sprostowała, skromnie spuszczać wzrok - tylko „Europy”.

Suzanne przeszła do następnego pytania.

- Jak wygląda typowy dzień Adele Floret-Clare?

Adele znowu się zaśmiała.

- Nie ma czegoś takiego jak typowy dzień. A jako filozof powinnam powiedzieć, że nie ma w zasadzie takiej rzeczy, jak „życie” czy „dzień”. Bo cóż pani rozumie przez „życie” i „dzień”?

Suzanne poczuła, że jej skronie zaczynają pulsować.

- No dobrze. W takim razie co pani robiła wczoraj?
Adele wyglądała na zaskoczoną.

- Wczoraj, czyli w ciągu ostatnich dwudziestu czterech godzin?

Suzanne miała ochotę wrzasnąć na najinteligentniejszą kobietę Europy, ale w tym momencie drzwi się otworzyły i weszła kobieta z posępnym spojrzeniem i czerwonymi, zapuchniętymi oczami. Niosła tacę ze szklanym dzbankiem herbaty i talerzykiem, na którym w kształt wachlarza ułożone były maślane ciasteczka.

Kiedy taca została już postawiona, Adele zwróciła się do kobiety żartobliwym tonem:

- Wendy, chcesz nas wykończyć? Maślane ciasteczka? Mój Boże, tyle tłuszczu i cukru!

- Kazano mi kupić coś brytyjskiego.

- A te owsiane ciasteczka, które mieliśmy wcześniej?

- Teraz są produkowane na licencji w Polsce - odparła Wendy.

Adele zamieszała saszetki herbaty w dzbanku, spoglądając na zegarek. Zwróciła się do Wendy dość ostro:

- A jeśli chodzi o nogę Barry'ego: on będzie mógł się poruszać. Nie dalej jak w ubiegłym tygodniu wręczaliśmy z Edwardem nagrodę „Junior na schwał” chłopcu, któremu zabytkowa ciuchcia parowa odcięła obie nogi. Teraz gra w koszykówkę na wózku.

Suzanne popatrzyła na wychodzącą Wendy i z satysfakcją dostrzegła na jej twarzy jadowite spojrzenie wbite w plecy Adele tuż przed zamknięciem drzwi.

- No więc, wracając do pani intrygującego pytania. Budzik dzwoni o piątej trzydzieści, ale my zwykle już wtedy jesteśmy na nogach. To dla nas bardzo cenne chwile, zanim wszystko się zwali na głowę. Ale panią interesuje dzień wczorajszy... czyli wstaliśmy o piątej, Ed zrobił herbatę i rozmawialiśmy. Mamy jedną zasadę: żadnych rozmów o polityce ani o rodzinie. To była ciekawa rozmowa.

- O czym? - zapytała Suzanne, chociaż nie spodziewała się odpowiedzi.

- Ach, o transsubstancjacji.

- O transsubstancjacji? - powtórzyła Suzanne niepewnie. - Czy to ma coś wspólnego z transportem?

Adele roześmiała się.

- Widać, że nie jest pani teologiem - przechyliła się wygodniej w tył i podłożyła sobie dłonie pod głowę.

- Mówiąc o transsubstancjacji, dotykamy kwestii przeistoczenia podczas Eucharystii. Czy chleb i wino podpadają pod tę samą kategorię, co Ciało Chrystusa? - mówiła z zapalem.

- Fascynujące - mruknęła Suzanne, która miała ledwie mgliste pojęcie o tym, czym w ogóle jest Eucharystia.

Adele upiła łyk herbaty i natychmiast jej twarz wykrzywiła się w dziwnym grymasie.

- To nie herbata rumiankowa, tylko lapsang suchong. Naprawdę, im szybciej odejmą Barry'emu tę nogę, tym lepiej dla nas wszystkich - i wróciła do zajęć poprzedniego dnia. - No więc, o szóstej, jak już Ed się pomodlił, a ja skończyłam medytację, Ed włączył *Today*, wykąpał się, ja wzięłam prysznic i wtedy przyszła Wendy ze śniadaniem. Potem pora karmienia Poppy, którą jeszcze karmię piersią, dalej czesanie, manicure, wyprawianie dzieci do szkoły i dziesięć minut na przejrzenie gazet. Jeszcze uzgodniłam z Wendy jadłospis na przyjęcie dla Stowarzyszenia Żon i Dziewczyn Zawodników Manchester United, organizowane tutaj, w naszym budynku. Pojechałam na Wydział Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu, gdzie wygłosiłam wykład na temat feminizacji mężczyzny Zachodu. Wróciłam tutaj. Napisałam osiemset słów dla „Spectatora” o przeciążeniach poczty elektronicznej, potem lunch z Camillą P.B., która obiecała, że nauczy mnie jeździć konno, kiedy w przyszłym tygodniu pojedziemy do Highgrove. I co potem? A tak, karmiłam dziecko, kupowałam

buty z Gail Rebeck, przyjechałam delegację zakonnicy z Rwandy, weszłam na górę, zjadłam kanapkę ze starszymi dziećmi – Morganem i Estelle. On będzie w tym roku zdawał egzamin końcowy, a ona właśnie zaczęła naukę w Szkole dla Dziewcząt w Camden. Potem samochodem na lekcję tenisa z Andre, powrót, prysznic, czesanie, makijaż. Wykonałam telefony, napisałam listy, wysłałam maile, znowu nakarmiłam dziecko, i nadszedł czas na przyjęcie dla kobiet Man U. Ed się pojawił – kocha piłkę nożną. Potem, a właśnie, poszłam na górę do dzieci i pomogłam Morganowi napisać pracę o *Królu Learze*. Znowu czesanie, makijaż, przebieranie się i kolacja w ambasadzie Francji z Charlotte Rampling i Eddie’em Izzardem. Uzgodniliśmy...

Suzanne, która była fanką Eddiego Izzarda, wtrąciła:

- Jaki jest Eddie?

Adele odparła:

- Miał na sobie czarne trykoty i czerwone buty, i zdawał się sam sobą zachwycony. Jakoś nie przypadł mi do gustu.

Kiedy Wendy już odprowadziła Suzanne, Adele usiadła samotnie i odtworzyła w myślach całą rozmowę. Była pewna, że nie spodobała się Suzanne. Od dzieciństwa wiedziała, że inteligencja to coś, co powinno się ukrywać. Babcia ostrzegała ją: „Nikt nie lubi przemądrzałych”. Czasami zazdrościła tym grubasom w okręgach wyborczych Eda z ich banalnymi rozmowami o niczym i trywialnymi zajęciami. Dotknęła nosa i pomyślała o jego skorygowaniu. Ed zawsze mówił, że kocha jej nos, i całował go wzdłuż i wszerz. Ale ona miała już dosyć noszenia go przed sobą niczym ostrzegawczej chorągiewki.

Jak tylko Suzanne znalazła się na zewnątrz domu nr 10, włączyła komórkę. Jack Sprat, który przyglądał się z uznaniem jej nogom, usłyszał, jak odchodząc, mówiła:

- To głupia krowa.

Uśmiechnął się do siebie, dobrze wiedział, o jaką krowę chodzi.